

JESTEŚ MUZYKĄ



JAGODA WOCHLIK
FILIA

JAGODA WOCHLIK

JESTEŚ MUZYKĄ

FILIA

Moim czytelnikom
z wdzięcznością i głębokimi ukłonami,
bez Odbiorców nie ma bowiem artystów

Miłość to przyjaźń oprawiona w muzykę.

Jackson Pollock

Myślałem nad tym, że powinienem czuć się bardzo
szczęśliwy, a jednak nie było tak.

W rzeczywistości uczucie szczęścia uświadamiamy
sobie zawsze dopiero później.

Teraz wiem, że byłem szczęśliwy.

Erich Maria Remarque, *Noc w Lizbonie*

PROLOG

Zastanawiała się właśnie, czy można upaść jeszcze niżej. W ciągu jednego roku straciła męża, pracę i dom. A jednak była tu. W puszystym, ciepłym szlafroku. Wyciągnęła z szafki butelkę wina, z jednej z półek w kuchni zdjęła samotny kieliszek. Nie będzie potrzebował kompana, tak jak i ona. Sięgnęła do szuflady po korkociąg. Ostrożnie odkorkowała butelkę. Jeszcze tego brakowało, żeby poplamiła coś czerwonym winem, a plama by nie zeszła. Ciekawe, jak by się z tego wytłumaczyła? Wraz z kieliszkiem i butelką, swoimi jedynymi towarzyszami na ten wieczór, przeniosła się do salonu.

Nie miała już męża, domu ani pracy. I to wszystko straciła w ciągu zaledwie jednego roku. Czy ktoś rzucił na nią zły czar? Jeśli tak, to przerąbane, bo nie wyglądało, by miał się pojawić książę, który wyciągnie ją z tego

bagna. A jednak była tu. W tym absurdalnie dużym mieszkaniu. Usiadła na kanapie w salonie, w którym spokojnie można by robić próbę do przedstawienia teatralnego. Spojrzała za okno stanowiące właściwie całą ścianę naprzeciw niej. Poznań tonął w ciemności nocy zupełnie tak samo, jak ona zatapiała się w swoim smutku. Uniosła kieliszek ku górze i odezwała się:

– Za Zosię Jankowiak, która osiągnęła dno i nie da już rady upaść niżej. – Obróciła się po kolei ku wszystkim czterem stronom mieszkania i przepiła do wszystkich ścian.

Upiła łyk wina.

I wtedy usłyszała coś, czego absolutnie, za żadne skarby świata, nie powinna usłyszeć. Pikanie elektronicznego zamka. Przecież to niemożliwe. Jej mózg bronił się przed tym, co słyszy. To nie miało prawa się stać. Nie dziś, nie teraz... A jednak drzwi stanęły otworem, automatyczne światło w korytarzu zapaliło się. W holu zapanowało zamieszanie. Mężczyzna ciągnął za sobą sporych rozmiarów torbę, a salon, w którym siedziała Zosia, oświetlało tylko boczne, dyskretne światło, ale nie sposób było, by jej nie zauważył, zwłaszcza że kanapa znajdowała się naprzeciw wejścia. I rzeczywiście. Kiedy mężczyzna zakończył szamotaninę z torbą i przystąpił do ściągania kurtki, zamarł.

– O – wyrwało mu się.

„Czyli jednak. Mogę upaść jeszcze niżej. Czy to już dno?”, przebiegło jej przez myśl, zanim jej usta jęknęły i wymówiła cicho:

– Wytłumaczę.

* * *

Lot był ciężki. Zastanawiał się, po co mu to było. Powinien zostać w LA. Przecież nigdy nie ulegał impulsom, nie słuchał przeczuci. A jednak. Tym razem właśnie pod wpływem impulsu kupił bilet, spakował walizkę i zdecydował się na podróż do Polski. Do domu. Po raz pierwszy od trzech lat. Tym, co poczuł, gdy wysiadł z samolotu na Ławicy, wcale nie była nostalgia. Poczuł to polskie, cholerne zimno, od którego zdążył się już odzwyczaić. Chwilę trwało, zanim jego pamięć przywołała odpowiednie stwierdzenie. Jak to było? A tak...

– Piżdzi jak w Kieleckiem.

Wziął taksówkę do domu. Wydawało się, że nie ma dużej walizki, ale ta mimo wszystko nie chciała zmieścić się do bagażnika, więc ostatecznie taksówkarz wciśnął ją na tylne siedzenie, co pozbawiło go kolejnych dziesięciu minut, w których trakcie zaczął żałować, że jego stopy w ogóle dotknęły ojczystej ziemi. Miał ochotę zawrócić, wykupić pierwszy bilet do domu i nikomu nawet nie napomknąć, że tu był.

Dotarcie z lotniska do domu zajęło mu prawie godzinę, tak że gdy wysiadł z windy na swoim piętrze, było po jedenastej. Otworzył drzwi kartą kluczem, a potem chwilę szamotał się z walizką w wejściu. Zdejmował właśnie kurtkę, gdy do jego zmęczonego mózgu wreszcie dotarło, o co zawadził jego wzrok. A zawadził o... kobietę. Na dodatek kobietę w negliżu. Usłużny mózg dokładał kolejne szczegóły. Kobieta. W negliżu. Z turbanem na głowie. Kieliszkiem wina w dłoni. Głupkowatą miną. Kobieta, której za żadne skarby świata nie miało prawa tam być. A jednak była, siedziała na kanapie i patrzyła na niego, równie zdziwiona, co on.

– O – wyrwało mu się. Bo coś więcej miał powiedzieć? – Dzwonić na policję?

Zaraz! Kto normalny pyta włamywacza, czy ma dzwonić na policję? Ale jaki normalny włamywacz siedzi w czyimś mieszkaniu i prawie nago popija wino? Słyszając to, kobieta poderwała się z kanapy. Potrąciła niski stolik do kawy. Butelka z winem przewróciła się i stoczyła na podłogę, a płyn zaczął wsiąkać w dywan.

– Jasna cholera! – wyrwało jej się.

Podniosła butelkę, ale nie rzuciła się ratować dywanu. Oboje rozumieli, że na próbę uniknięcia tej katastrofy (na wielu płaszczyznach, gdyż nie tylko o wino chodziło) jest już za późno.

– Wytłumaczę... – jęknęła.

– Pani Jankowiak, mam nadzieję? – zapytał i zdał sobie sprawę, że ze zdenerwowania mówi do niej po angielsku.

Kobieta jednak zrozumiała pytanie i energicznie przytaknęła.

– Tak, dzień dobry, panie Wojciechowski. Miło pana w końcu poznać. – Uśmiechnęła się.

– Panią to bawi? – zapytał zdenerwowany.

Pokręciła głową.

– Właściwie... Nie interesują mnie wyjaśnienia. Chcę, żeby pani zniknęła z mojego domu. Natychmiast! – wyrzucał z siebie kolejne słowa. A po namyśle dodał: – I jest pani zwolniona.

Kobieta ponownie skinęła głową. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– I na litość boską, niech się pani ubierze!

Kobieta wyminęła go i czym prędzej skierowała się do łazienki. To dało mu chwilę na to, by ochłonąć. Nadużyła jego zaufania. Kiedy ją zatrudniał, był pełen dobrej woli. Dał jej godziwą stawkę. Przecież nie prosił o wiele. Miała dbać o mieszkanie. Wietrzyć. Podlewać kwiatki. Wyposażyć lodówkę na jego przyjazd. Płacić rachunki. W jego imieniu kupować i wysyłać prezenty na różne okazje dla jego bliskich. Czy naprawdę prosił o aż tak wiele? Przecież całkiem nieźle jej za to płacił. A tymczasem ona... ona... tak bezczelnie nadużyła

jego zaufania. Zamiast opiekować się mieszkaniem, wprowadziła się do niego. Cóż za bezczelny babsztyl!

A jednak, gdy został sam i ochłonął, zrozumiał, że właśnie wyrzucił tę kobietę na bruk. Nie miało znaczenia, jak bezczelna była. Skoro tu siedziała, to być może nie miała dokąd pójść, a on właśnie wyrzucił ją po jedenastej w nocy. Co ona robi na środku ulicy, sama, o tej godzinie? Zaraz, co go to obchodzi? Przecież to nie jego problem. Dlaczego się tym przejmuje? Niech dziewczyna sobie radzi. Niech wypija piwo, którego sobie nawarzyła.

Kiedy po pięciu minutach kobieta wyjrzała z łazienki, miała na sobie dżinsy i koszulę w czarno-zieloną kratę z rękawami podwiniętymi do łokci. Nie patrząc na niego, skierowała się do pomieszczenia przy kuchni. Nie wiedział, co tam jest. Nigdy tam nawet nie był. Poszedł za nią. Jeszcze coś ukradnie, kto ją tam wie. W pokoju, który okazał się pralnią, była pralka, suszarka, w szafce stały środki czystości. Dostrzegł też mop, wiadro, odkurzacz. To jednak, co zaciekało go najbardziej, to materac i śpiwór, które leżały na podłodze. Więc tu spała, w pralni? Nie korzystała z pozostałej części domu, chociaż tyle. Kobieta klęknęła na podłodze i zaczęła zwijać śpiwór.

Był zły sam na siebie, a jednak wypowiedział te słowa:

– Porozmawiajmy.

Nie czekał na jej reakcję. Ruszył do kuchni. Podszedł do dużego prostokątnego stołu. Zawsze mu się podobał. Był zrobiony z kawałka drewna, w którym bardzo dobrze widać było słoje, połączonego z czymś, co było przezroczyste, ale jednocześnie kolorowe – granatowe i złote. Usiadł na jednym z krzeseł i zapatrzył się w ciemność za oknem. Kobieta dołączyła do niego po chwili.

Dopiero teraz, gdy siedzieli naprzeciwko siebie, mógł jej się dobrze przyjrzeć. Gdy zniknął turban, okazało się, że miała krótkie, kasztanowe włosy. Również oczy miała w orzechowym kolorze. Jej cera była jasna, mlecznobiała. Nie odznaczała się nadwagą, ale nie była też bardzo szczupła. Nie wydawała mu się ładna, raczej nie obejrzałby się za nią na ulicy.

– Ma pani gdzie spać? – zapytał wprost.

– Nie – odparła równie wprost. – Pójdę do hotelu.

– Długo już tu pani mieszka?

– Dwa tygodnie. – To mogło być kłamstwo, mogła tu mieszkać przez ostatnie dwa lata, a jednak jej uwierzył.

– Proszę tutaj zostać – powiedział. – Ale tylko na dzisiejszą noc – zaznaczył natychmiast, by nie było wątpliwości.

Kobieta otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale jej nie pozwolił.

– Niech sobie pani za dużo nie wyobraża. Nadużyła pani mojego zaufania. Jutro ma się pani wynosić. Jest pani zwolniona.

– Rozumiem – odpowiedziała spokojnie. – Dziękuję.

Było coś absurdalnego w tym, że mu podziękowała. Przecież właśnie ją wyrzucił. Pozbawił ją dachu nad głową. I pieniędzy. Owszem, był u siebie. Nic nikomu nie był winien. Nie musiał zbawiać świata. Nie musiał nikogo ratować. Nie musiało go obchodzić, dlaczego tu skończyła ani dokąd pójdzie.

Wstał od stołu. Wiedział, że przy sypialni ma jeszcze jedną, mniejszą łazienkę. Trudno. Zamknie się na noc. Wrócił do korytarza po swoją walizkę. Nagle spostrzegł, że wciąż miał na sobie buty. Zdjął je więc. Kiedy ciągnąc za sobą walizkę, ruszył do sypialni, kobieta wstała od stołu, wzięła z kuchni papierowe ręczniki i zajęła się sprzątaniem rozlanego wina. To bez znaczenia. Dywan i tak będzie do wyrzucenia.

Jak to się stało? Jak w ogóle do tego doszło? Co ich tu oboje doprowadziło?

ROZDZIAŁ I

Kompozytor i kobieta, która zawsze miała pecha

Jak wszyscy, sądziła, że jej miłość będzie wieczna. Nie była wieczna. Wystarczyła na dwadzieścia cztery miesiące i trochę ponad tydzień. Nic nie dała kłódka z wydrapanymi inicjałami i datą ślubu umieszczona wśród innych na moście na Ostrowie Tumskim. Nie pomogły wypowiedane ze wzruszeniem zaklęcia „ślubuję ci” i złote pierścienie wsuwane na palec jako znak i obietnica. Miesiąc po ślubie przyszedł do niej, siadł na kanapie, kiedy ona akurat była w trakcie zmywania naczyń, i poważnym tonem oświadczył:

– Chcę rozvodu.

Zaśmiała się. Uznała to za żart. Przecież jak inaczej można potraktować tego typu deklarację złożoną miesiąc po ślubie?

– Tak, i co jeszcze? – zapytała, odkładając talerz na suszarkę. – Mieszkania?

– Tak, chciałbym zatrzymać mieszkanie, włożyłem w nie więcej pieniędzy.

Odwróciła się do niego z talerzem w dłoni. Nie uśmiechał się. Był poważny. Poczula kłujące uczucie niepokoju.

– Nie mówisz poważnie.

– Owszem.

Mokry talerz z serwisu ślubnego (serio, kto dziś jeszcze daje zastawę z okazji wstąpienia w związek małżeński?) roztrzaskał się w drobny mak o podłogę, wyszczerbiając jedną z nowych, niedawno położonych płytek. Cóż, niebawem to miały być nie jej płytki, w nie jej kuchni, w nie jej mieszkaniu. A serwis na zawsze już pozostanie niekompletny. „Tak jak moje życie”, pomyślała wtedy.

Miała się przekonać, że żadne zakłęcia, obrączki ani podpisy nie pomagają. Wzięcie rozwodu było proste. Zbyt proste. Jej zdaniem przekreślenie czyjegoś życia nie powinno być tak straszliwie łatwe. Poszła do prawnika, zanim jeszcze dostała pozew. Poradził jej, by nie protestowała, nie walczyła. Zgodziła się więc na rozwód bez orzekania o winie. W pozwie, który dostała, było coś o niezgodności charakterów i innych pomysłach na życie. Zastanawiała się, jak na jednej kartce papieru może się zmieścić tyle bzdur.

– Co? – Jej matka dostała spazmów. – Coś ty zrobiła, że cię zostawił?

Sama się nad tym zastanawiała. Czy nagle wyrosły jej rogi i po ślubie, już nie jako dziewczyna czy narzeczona, lecz jako żona, stała się diabłem wcielonym, od którego należało trzymać się jak najdalej? Nie wiedziała. Nieważne, z której strony patrzyła na ten problem, nie wiedziała. Nie potrafiła zrozumieć. A męża, już wkrótce byłego męża, nie mogła zapytać, bo zerwał z nią wszystkie kontakty. Dał jej tydzień na zabranie z mieszkania wszystkich rzeczy. Na ten czas sam się wyprowadził, a kiedy się upewnił, że opuściła mieszkanie, zablokował jej numer i zniknął z jej życia. Było tak, jakby przestał istnieć.

W ciągu miesiąca otrzymała pozew, kolejne trzy czekała na rozprawę. Wtedy pierwszy raz w życiu była w sądzie. Prawnik jej męża był ewidentnie znudzony. Jej prawnik wciąż tylko patrzył na zegarek. Jej życie właśnie się rozpadało, może kończyło, przeżywała tragedię, gdy dla tych ludzi był to zwykły dzień. Dzień pracy. Za chwilę wyrzucą jej nazwisko z pamięci. Skreślenie jej życia zajęło Wysokiemu Sądowi piętnaście minut. Miała wrażenie, że nikt jej nie słucha. Mogła powiedzieć, że pośrodku ulicy Mielżyńskiego wylądowali kosmici, a protokolant sądowy zapisałby to bez mrugnięcia okiem. W piętnaście minut

**OPOWIEŚĆ O TYM, ŻE MIŁOŚĆ NIE ZAWSZE
WYGLĄDA JAK W FILMIE.
NIE MUSI SIĘ OBJAWIAĆ WIELKIMI,
ROMANTYCZNYMI GESTAMI.**

To historia o tym, że rozwijanie skrzydeł wymaga odwagi, czasu i samozaparcia. A przede wszystkim to opowieść o tym, o czym doskonale wie każda szanująca się komedia romantyczna, że...
każda miłość zaczyna się lub kończy na lotnisku.

Zosia w krótkim czasie straciła wszystko – męża, pracę i dach nad głową. Nie mając dokąd pójść, zatrzymuje się w pustym mieszkaniu, którym się opiekuje podczas nieobecności właściciela, Ignacego, kompozytora muzyki filmowej. Jej zła passa nie daje jednak za wygraną. Kiedy Zosia siedzi w szlafroku na kanapie, wznosząc toast za swoje zmarnowane życie, właściciel mieszkania staje w progu. Początkowo chce ją wyrzucić, ale gdy dowiaduje się, że kobieta nie ma dokąd pójść, pozwala jej zostać.

Czy Zosia i Ignacy odnajdą się w nowej, wspólnej rzeczywistości? Jak wygląda życie pod jednym dachem osób, które wybitnie działają sobie na nerwy? Dlaczego czasem warto zawalczyć o swoje marzenia, choć los ewidentnie rzuca kłody pod nogi?

FILIA

cena 47,90 zł



9 788384 021606